



Joanna Chmielewska

Życie
(nie)całkiem
spokojne

KLIN

Joanna Chmielewska

Życie
(nie)całkiem
spokojne

KLIN

Redakcja: *Ewa Kłosiewicz*

Korekta: *Małgorzata Kot*

Projekt okładki: *Alina Wiszenko-Zabrowarny*

W książce wykorzystano zdjęcia ze zbiorów prywatnych Autorki

© Copyright by Wydawnictwo Klin, Warszawa 2013

ISBN 978-83-62136-71-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie,
kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych,
odtworzenie w jakiegokolwiek formie tylko za wyłącznym
zezwoleń właściciela praw autorskich

Wydanie I

Wydawnictwo Klin

Warszawa, ul. Bruzdowa 117H

tel. +48 501 686 786

e-mail: m.g.klin@op.pl

www.wydawnictwoklin.pl

Od wydawcy

Dokładny czytelnik twórczości Joanny Chmielewskiej może, wzięwszy tę książkę do ręki, zadać pytanie: „Biografia? Jaka biografia? Przecież czytałem/am już *Autobiografię*. To coś innego?”

Odpowiedź brzmi: i tak, i nie.

Faktycznie, w latach 1994–2008 ukazała się siedmiotomowa *Autobiografia* pisarki. Z jednej strony, siedem tomów to niewiele, by opisać barwne i obfitujące tak w zabawne, jak i zaskakujące momenty życia, z których wiele znalazło później swe rozwinięcie w powieściach Autorki.

Z drugiej jednak strony, siedem tomów to sporo do przeczytania. Nie wszyscy dysponują czasem czy cierpliwością w stopniu pozwalającym na zafundowanie sobie takiego luksusu. Wychodząc zatem naprzeciw tym ostatnim, postanowiliśmy wszystko to, co zajęło przedtem siedem tomów (a nawet troszkę więcej, bo czas przecież biegnie naprzód), teraz zmieścić w jednym, który właśnie oddajemy do Waszych rąk.

Jeśli zaś okaże się, że ktoś czytający go nabierze ochoty, by o jakiejś sprawie/fakcie/wydarzeniu dowiedzieć się więcej, nic prostszego – tytuły rozdziałów odpowiadają tytułom poszczególnych tomów *Autobiografii*. Wystarczy po nie sięgnąć.



Rozdział I



DZIECIŃSTWO

Moja prababcia uciekła od swojej ciotki, Ledóchowskiej, w celu poślubienia mojego pradziadka, wywodzącego się z gorszej sfery. Sama nazywała się Szpitalewska. Podobno istniały trzy siostry, po mężach Szpitalewska, Ledóchowska i Chmielewska, i od córki Szpitalewskiej w prostej linii pochodzę.

Cała historia, opisana w „Studniach przodków”, jest prawdziwa. Poza tym, że spadków nie było. Natomiast istotnie, jeśli można wierzyć opowieściom rodzinnym, zaślubiona pradziadkowi prababcia obraziła się śmiertelnie na widok posiadłości i odpracowała drugą ucieczkę. Z domu męża do domu mamusi, bo nowe włości nie przypadły jej do gustu. Mamusia prababci była twarda, chyba wszystkie baby w naszej rodzinie od pokoleń miały zły charakter, i odwiozła ją do Tończy z powrotem. Podobno odwiozła ją karetą, ale za to głowy nie dam. Pewne jest, że nie pojazdem mechanicznym.

Dalszy ciąg był już oglądany przez naocznych świadków, moją babkę, moją matkę i moje ciotki. Prababcia, w ramach buntu, gospodarstwa domowego nie tknęła, zajęła się ogrodem i miała do niego szczęśliwą rękę. Rosło jej wszystko jak dżungla po deszczu. Z gruszy przez prababcie wyhodowanej, w czasach współczesnych przeszczepionej na działkę pracowniczą w Warszawie, osobiście spożywałam owoce i raz w życiu jeszcze chciałabym zjeść taką gruszkę.

Dzieci prababcia urodziła czternaścioro, z czego wyżyło dziewięć sztuk. Różnica wieku, siłą rzeczy, istniała pomiędzy nimi znaczna

i spowodowała potężny melanz rodzinny. Najmłodszy syn prababci był tylko o sześć lat starszy od jej najstarszej wnuczki, w następnym pokoleniu zaś najstarsza prawnuczka urodziła się zaledwie rok po którejś kolejnej wnuczce. Najstarszą prawnuczką byłam ja.

Jak na uczucia, które podobno prababcia żywiła do pradziadka, ilość dzieci wydaje się zdumiewająca, ale może te uczucia żywiła niekonsekwentnie. Prababcia, przy licznych zaletach, musiała być zawzięta, bo w chwili śmierci pradziadka dała wyraz niezadowoleniu. Ogłosiła mianowicie pogląd, iż przedwczesne opuszczanie przezeń tego padołu jest karą boską za to, że ją tak oszukał, przy czym ogłosiła to w słowach, których elementarny takt nie pozwalała mi powtórzyć.

Dzieci prababci z domu rodzinnego wynosiły się sukcesywnie, zdobywając rozmaite zawody. Starsza z dwóch córek pracowała w Warszawie, w aptece. Była to moja babcia. W Warszawie też chyba poznała Franciszka Knopackiego, mojego dziadka.

Knopaccy wywodzili się z Woli Szydłowieckiej i tkwią tam nadal. Na gospodarstwie pozostał brat mojego dziadka, dziadek zaś w bardzo młodym wieku przeniósł się do miasta i ożenił z babcią. Był człowiekiem anielskiego serca i łagodnego charakteru, babcia zatem, nieodrodna córka swojej matki, mogła mu ciosać kolki na głowie w ilościach dowolnych. Dziadek wdał się w ruchy wyzwoleńcze, naraził się władzom carskim i został zesłany do zaboru austriackiego, dokąd babcia za nim pojechała.

Była to historia opowiadana w rodzinie przez całe lata. W ostatniej chwili babcia dowiedziała się, że po schodach idą carscy żandarmi, a dziadek już siedzi. Zachowała przytomność umysłu i okazując władzy wielką uprzejmość, podsunęła stółek pod tyłek kapitanowi czy też sierżantowi. Był on gruby i nieruchawy, chętnie usiadł i ze stołka kierował rewizją, babcia zaś modliła się gorączkowo, żeby nie wpadło mu do łba przesunąć ów stółek na inne miejsce. Ciężar meb-

la zainteresowałby go bez wątpienia. Stołek miał bowiem wewnątrz głęboką skrytkę, a w skrytce znajdowała się cała broń przechowywana przez dziadka. Modlitwy zostały wysłuchane, dziadka zesłano nie na Sybir, tylko do Trzebini. W tej Trzebini w dwa miesiące później urodziła się moja matka. Zesłanie trwało krótko, bo druga córka babci, Lucyna, urodziła się w Warszawie. Dziadek musiał znajdować się na wolności i przy boku żony, bo słyszałam mnóstwo gadania, jak to babcia we wszystkich istotnych chwilach życiowych rozpoczynała pranie, po czym dziadek to pranie wykańczał, ona bowiem leżała w połogu.

Razem wzięwszy, babcia urodziła czworo dzieci, trzy córki i syna, ale syn zmarł w niemowlęctwie. Trzy córki to była moja matka i dwie ciotki, Lucyna i Teresa. Przyczyniały jej zgryzot i zatruwały życie. Pewnego razu, na przykład, wracając z miasta do domu, ujrzała najstarszą córkę siedzącą na oknie z nogami przewieszonymi na zewnątrz, a okno znajdowało się na czwartym piętrze. W pięćdziesiąt lat później jeszcze babci brakowało tchu, kiedy mi o tym opowiadała.

W sąsiednim domu mieszkał zdun, który zasłynął akcją przeciwko teściowej. Wrócił do domu na ciężkiej bani, co bez wątpienia dodało mu kurażu, krzyknął potężne: „Kto tu rządzi, teściowa czy ja?!”, po czym rozebrał piec. Krótko po tym wydarzeniu trzy siostry poszły do kina i wróciły strasznie późno. Babcia i dziadek leżeli już w łóżku. Babci widocznie nie chciało się wstawać, bo wypchnęła dziadka do skarcenia córek, które siedziały w kuchni. Dziadek rozpoczął nagane słowami:

– Kto tu rządzi, ja czy wy...?

– Tylko niech tatuś kuchni nie rozbiera – powiedziała Lucyna pośpiesznie i ostrzegawczo.

Dziadek uciekł do sypialni, a wykroczenie się upiekło.

Na lato rodzina wyjeżdżała do Tończy albo do Woli Szydłowieckiej. W Woli Szydłowieckiej znajdował się pies imieniem Sznapek. Kochał nad życie dziadka, który w sobotę przyjeżdżał z Warszawy na weekend do rodziny. Przez nikogo nieinstruowany pies zawsze wiedział, kiedy jest sobota, znał godzinę przyjazdu pociągu i nieodmiennie czekał na peronie. Był mądry w stopniu nadprzyrodzonym i dawał tego liczne dowody.

Któregoś dnia zajęta w domu babcia usłyszała na podwórzu przeraźliwy kurzy, i ogólnie mówiąc drobiowy, wrzask. Wybiegła i trafiła na moment, kiedy w tym towarzystwie pojawił się Sznapek. Na ziemi leżała kupka jajek, Sznapek doniósł właśnie w zębach następne, ułożył ostrożnie, obleciał kupkę dookoła, rozganiając ptactwo i popędził w dal. Po chwili wrócił z kolejnym jajkiem. Babcia najpierw zbaraniała, a potem w sercu jej zakwitła gorąca wdzięczność dla psa, bo już od paru tygodni martwiła się, że kury tak się źle niosą. Wyszło na jaw, że niosły się w zbożu, a Sznapek to odkrył.

Opowieści rodzinne brzmiały rozmaicie i nie zawsze jasno. Nigdy na przykład nie zdołałam dojść, gdzie była wieś z wołoduchem, koło Woli Szydłowieckiej czy koło Tończy. Pewne jest, że w owej wsi mieszkała baba, słynąca ze skąpstwa na trzy powiaty, a może jeszcze szerzej. Któregoś roku ksiądz chodził ze święconym, a ksiądz, jak wiadomo, należy podjąć odpowiednio, nie zaś byle jak. Baba szarpnęła się w sobie i zrobiła przyjęcie, mianowicie ugotowała dla księdza jajko na miękko. Ksiądz zasiadł przy stole, cała żywina zaś, ludzka i zwierzęca, bez mała wlaża mu na głowę, bo tak nadzwyczajnego rarytasu nikt w tym domu dotychczas nie widział. Baba zdenerwowała się przesadnym tłokiem w izbie i z gniewem wrzasnęła:

– Psy na dwór! Dzieci pod stół! Ksiundz nie wołoduch, som całego jajka nie zji, jak zostawi, to wom dom!

Stąd się wziął ten wołoduch, który zakorzenił się w mojej rodzinie na zawsze. Tyle o nim wiadomo, że okropnie żerty.

Wszystkie trzy córki mojej babci skończyły szkołę w różnym zakresie. Moja matka przed samą maturą dostała nerwicy, w głębi duszy przypuszczam, że nie chciało jej się uczyć, nerwica objawiła się okropnymi bólami głowy, dano jej zatem spokój i darowano ten ostatni egzamin. Bóle głowy przeszły jak ręką odjął i poszła do pracy w charakterze sekretarki dyrektora jakiejś instytucji.

Teresa maturę zdała, nie jestem pewna, czy nie odwalila jeszcze jakichś kursów zawodowych, w każdym razie też podjęła pracę. Lucyna poszła na uniwersytet, na polonistykę, potem zaś wdała się w kulturę, sztukę i dziennikarstwo.

Potem wszystkie zaczęły wychodzić za mąż, a pierwsza była moja matka.

Druga połowa rodziny, ta po mieczu, rzecz oczywista, również istniała. Przez całe lata słyszałam gadanie, jak to pradziadek przybył z Niemiec i nie umiał po polsku i gryzłam się tą niemieckością, potwierdzoną panięskimi nazwiskami babek i prababek. Becker, Koch, Szwarc same mówiły za siebie. Na szczęście mój stryj zadał sobie trud sprawdzenia, co się w tej rodzinie działo, i wyszło na jaw, iż na tych trzech niemieckość się wyczerpała, reszta to już były Borkowskie, Luzińskie i Michaliki. Jedną parę moich prapradziadków stanowili w rezultacie Józef Szwarc i Anna z domu Luzińska, drugą zaś Ignacy Borkowski i Julianna z domu Michalik. Córka Ignacego i Julianny, też Julianna, z domu Borkowska poślubiła Karola Beckera i to właśnie byli moi pradziadkowie. Możliwe, że właśnie ten Karol przybył z Niemiec i nie umiał po polsku. Następne pokolenie język musiało już opanować w pełni, bo syn Karola, mój dziadek, był w tym kraju nauczycielem. Dziadek Paweł poślubił babcię Helenę, córkę Pauliny Koch, z domu Szwarc, wnuczkę Anny Szwarc, z domu Luzińskiej.

Babcia Helena miała dwie siostry, ciotkę Józję i ciotkę Stachę. Ciotka Stacha pozostała w stanie panięskim, ciocia Józia wyszła

za mąż i miała dwóch synów, Mietka i Stefana. Oprócz sióstr miała babcia także troje dzieci, dwóch synów i jedną córkę. Młodszy z synów poślubił moją matkę.

Jak łatwo zauważyć, uparcie piszę o babkach i prababkach, a nie o dziadkach i pradziadkach. Oczywiście również istnieli, ale dominacja kobiet w całej mojej rodzinie, w obu jej częściach, po mieczu i po kądzieli, jest do dziś dnia tak silna, że mężczyźni się prawie nie liczą, chociaż reprezentowali wszystkie normalne ludzkie cechy, charaktery, indywidualności, wykształcenie, a czasem także pieniądze. I wszyscy, tajemniczym zrządzeniem losu, byli ludźmi łagodnymi, gołębiego serca i spokojnego usposobienia, tkwiącymi silnie pod pantoflem tych okropnych bab.

Anegdot z czasów dzieciństwa mojego ojca nie znam żadnych, nie miał kto o nich opowiadać.

Mój ojciec skończył tak zwaną handlowkę, a potem coś jeszcze i zdobył zawód księgowego. Może w jakimś szerszym zakresie, głównie siedział w bankowości. Dwie cechy posiadał dla pracodawców bezcenne, fachowość i uczciwość zgoła nadludzka, pozbawioną nawet rozsądku, bo rozmaitych ludzi później wzbogacił, a siebie wręcz przeciwnie.

Poznał moją matkę przy jakiejś eleganckiej okazji towarzyskiej, zakochał się czym prędzej i kiedy dostał awans, dumny z tego bardzo, ośmielił się jej oświadczyć. Jakoś zaraz potem zaproponowano mu stanowisko dyrektora filii KKO na prowincji, ściśle w Grójcu i ojciec propozycję przyjął, zapewne zachęcony do tego przez narzeczoną.

Moja matka uparcie twierdziła, że wyszła za mąż, żeby uciec z domu. Miała dosyć babci. Fakt, babcia była despotyczna, nieco awanturnicza, tyranizowała rodzinę wręcz odruchowo i wszystkie córki jej się bały, różnie reagując. Teresa znosiła tyranie z zaciśniętymi zębami, moja matka ulegała jej bez żadnego oporu, Lucyna buntowała się

z całej siły. Oddalenie się od babci mogło przynieść dużą ulgę, a zawsze Grójec to już inne miasto.

W drugiej kolejności wyszła za mąż Lucyna. Przez przekorę, jak sądzę, pchała się do przedwojennych partii komunistycznych, narzeczony był komunistą, chodził w rozwianym czerwonym krawacie i babcia powiedziała, że jej kaktus na dłoni wyrośnie, jeśli Lucyna go poślubi. Lucyna zatem poślubiła.

Teresa wyszła za mąż za Tadeusza już w czasie wojny. Miała go za męża parę miesięcy, potem straciła z oczu, a potem spotkała znów po osiemnastu latach. Ale i tak ona jedna chyba wyszła za mąż z własnej i nieprzymuszonej woli, dla faceta, a nie przeciwko babci.

Możliwe, że moja matka chciała także odczepić się od siostry. Lucyna, jako dziecko dość spokojna, teraz zaczęła mieć szatańskie pomysły, z rozgoryczeniem przez moją matkę wspomnianie.

Z licznych zatem przyczyn awans ojca i to grójeckie dyrektorstwo były dla mojej matki czystym błogosławieństwem. Z jednej strony oddalała się od rodziny i miała święty spokój, z drugiej wcale nie musiała trawić życia na prowincji, bo komunikacja istniała, matka przyjeżdżała do Warszawy, kiedy jej się żywnie podobało.

Do gospodarstwa domowego nie była jeszcze zbyt dobrze przystosowana, w rodzinnym domu nie nauczyła się prawie niczego, trochę może z lenistwa, a trochę dlatego, że babcia była pracowita i lubiła robić wszystko po swojemu. Rychło jednak opanowała te wszystkie sztuki gospodarskie i kształciła wszystkie kolejne służące, które zyskiwały wysokie kwalifikacje, zanim się zdążyły obejrzeć.

Czując się już teraz wolna, dorosła i zamężna, co w pewnym stopniu zmniejszyło lęk przed babcią, mnóstwo czasu spędzała w Warszawie, w rodzicielskim domu. Pieniądze miała, bo ojciec nieźle zarabiał, zakupy robiła dowolne. Ojca obsługiwały wyszkolone służące i było fajnie.

W rok po jej ślubie urodziła się Lilka. Była córką jedynej siostry babci, Heleny, cioteczną siostrą mojej matki i moją cioteczną ciotką. Lilka miała dwóch starszych braci, urodziła się po jedenastoletniej przerwie i będąc przy nadziei, jej matka czyniła mojej matce wyrzuty. – To nie ja się powinnam wygłupić, tylko ty! – mówiła.

Moja matka uległa widocznie presji i podjęła męską decyzję. W ten sposób obie razem, Lilka i ja, stałyśmy się jedynymi dziećmi w całej dorosłej rodzinie. Gdybyśmy chociaż chowały się razem, ale nawet i to nie, bo jej rodzice zamieszkali w Cieszynie. Zetknęłyśmy się osobiście dopiero po piętnastu latach.

Ciąża i poród mojej matki od początku do końca były zjawiskiem przerażającym. Ten okres matka przetrwała głównie pod skrzydłami babci w Warszawie. Wyprowadziła z równowagi zarówno swoją matkę, jak i siostry, które już całkiem miały dosyć i coraz mniej delikatnie nakłaniały ją do powrotu do męża. Żadne takie, to ojciec przyjeżdżał, matka dotrwała w rodzicielskim domu aż do porodu.

Moja matka chciała córeczkę. Babcia odwrotnie. Ojcu było wszystko jedno. Obie siostry natomiast niezadowolone były z pobytu w domu niemowlęcia obojętnej płci. Szczególnie brzydziła się mnie Lucyna, odrazy nie kryła i w ogóle nie chciała tego świństwa dotykać.

Pierwsze, co pamiętam to aarona. Nie był to zaprzyjaźniony starozakonny, tylko kwiat. Tak się nazywał, aaron, przez dwa „a”. Miał ogromne liście, podobne do kalii, i był silnie trujący.

Nikt nie wierzy, że pamiętam, bo miałam wtedy zaledwie rok z drobnymi groszami. Niewątpliwie całą historię znam z opowiadań, ale mogę przysiąc, że coś z tego zahaczyło mi także o pamięć własną. Odbываły się wtedy w domu wielkie porządki. Żeby nie przeszkadzała, dano mi coś do zabawy, a tym czymś był liść rośliny. Rzecz jasna, ugryzłam go natychmiast i piekło wybuchło dantejskie. Z roz-

wartą gębą ryczałam jak trzy syreny okrętowe, a może i lepiej, a rodzina szalu dostała, nie pojmując, o co chodzi. Piekło mnie straszliwie, chciałam mleka! Wyłącznie mleka! Ból bólem, głównie darłam się z wściekłości, że głupia rodzina nic nie rozumie, ja chcę mleka, a tego mleka nikt mi nie daje!

Dalszy ciąg znam już tylko z relacji. Głowiąc się nad tajemniczą przypadłością, wysunięto wreszcie supozycję, że to może ten kwiatek. Babcia poszła na eksperyment, też ugryzła i natychmiast zaczęła ziając z otwartymi ustami i wywieszonym językiem.

Moja wiedza o sobie z tamtych czasów pochodzi z opowieści rodzinnych. Pierwszej wizyty w ogrodzie zoologicznym nie pamiętam, zostałam tam zaprowadzona, pokazano mi wszystko, przyprowadzono z powrotem, po czym zadano pytanie:

– No i co tam było, w tym ogrodzie zoologicznym? Co widziałaś? Zastanowiłam się głęboko i po namyśle odpowiedziałam:

– Pijawki...

W wieku dwóch lat z pewnością nie robiłam sobie wyszukanych dowcipów. Musiały te pijawki tam się znajdować, aczkolwiek nigdy potem już mi w oko nie wpadły.

Duch przekory prawdopodobnie urodził się razem ze mną. Moja matka często i smętnie wspominała swoje zabiegi dyplomatyczne. Rychło poznała własne dziecko, udając się zatem ze mną na spacer, z reguły ruszała w stronę przeciwną niż naprawdę zamierzała podążyć. Dziecko nie zawiodło nigdy, z miejsca zaczynałam ryczeć, wyłażyłam z wózka i energicznie maszerowałam z powrotem.

– Po co ja się miałam z nią kłócić? – mówiła melancholijnie. – Bardzo dobrze, tam właśnie chciałam iść, zawracałam i był spokój.

Dziadek opowiadał mi bajki i kiedyś się podobno pomylił. Może był śpiący. Przerwałam mu.

– Dziaduń! – powiedziałam ze zgorzeniem. – Czyś ty się z choinki urwał, czyś przez most przeskoczył?

Dziadka rozbudziło to radykalnie, ale do dziś nie wiem, co się z czego wzięło. Czy już wcześniej słyszałam te słowa, czy też wymyśliłam je sama, a w każdym razie ironiczne pytanie „Z choinki czy przez most...?” zakorzeniło się w rodzinie na zawsze.

Dalej zaczynają mi się już wspomnienia własne, dość urozmaicone i chyba nieco pomieszane chronologicznie.

Pamiętam grę w karty. Mam wrażenie, że grać w karty umiałam wcześniej niż porządnie mówić. Karty były prawdziwe, rozróżniałam je bezbłędnie, gry natomiast dostosowane poziomem do lęgnącego się dopiero umysłu. W wojnę, albo w cygana.

Gra w karty zawsze odbywała się w kuchni mojej babci, na dużym stole, pokrytym ceratą. Zazwyczaj siedziałam na tym stole po turecku, a grały co najmniej trzy osoby, ktokolwiek się napatoczył, był angażowany w rozrywkę.

W mojej pamięci tkwi także wielkie pranie w postaci doskonałej zabawy. Po całej sypialni porozkładane były góry szmat, oddzielnie białe, oddzielnie kolory, oddzielnie bielizna osobista, ręczniki, ściereki i tym podobne, ja zaś uwielbiałam plątać się po tym labiryncie, wynajdując ścieżki pomiędzy stosami gałganów. Ponadto do pomocy przychodziła dodatkowa osoba i przyprowadzała ze sobą córeczkę, prawie w moim wieku. Pranie trwało jednym ciągiem niekiedy przez całą noc, owa córeczka zaś nocowała u nas, w tym samym pokoju co ja, stwarzając możliwość dodatkowej rozrywki. Opowiadałyśmy sobie niestworzone brednie, licytując się, która też wspanialsze widoki i wydarzenia wymyśli, i przy okazji kształcąc język. Nikt na nas nie zwracał uwagi i mogłyśmy tak ciągnąć te litanie do późnej nocy.

Zdaje się, że umiałam już czytać. Czytać nauczono mnie w bardzo wczesnym wieku, straciwszy cierpliwość, ponieważ byłam dzieckiem spragnionym lektury nieco może zbyt jednostronnej. Uparcie domagałam się od całej rodziny baśni o Żelaznym Wilku i tę baśń o Żelaz-

nym Wilku wszyscy, ze mną włącznie, umieli na pamięć. Obrzydła im rozpaczliwie, kiedy jednak usiłowali bodaj fragment przepuścić, podnosiłam wrzask i zgłaszałam potężne pretensje, doskonale wiedząc, czego tu brakuje.

Wychowana dalej na wszelkiego rodzaju innych bajkach, śpiących królewnach i królewnach Śnieżkach cudownej urody, może utozsamiałam się z wyobrażanymi postaciami. Ten warkocz do ziemi, te złociste kędziory, te korony i powłóczyście szaty wywarły na mnie swój wpływ, po czym przysła trudna chwila.

Pewnego dnia, w którymś momencie spojrzałam w lustro. Z pewnością nie było to pierwsze spojrzenie, luster w domu znajdowało się więcej niż jedno. Ale wtedy spojrzałam świadomie i nagle przyszło mi do głowy, że widzę siebie. Pamiętam tę chwilę, może w taki właśnie sposób rodzą się kompleksy...

„To ja tak wyglądam?“, zdziwiłam się w duchu i zdaje się, że mocno rozczarowałam.

Rodzinę doprowadzałam do rozpaczki trzema elementami. Przede wszystkim nie jadłam. Przygnębiający, złośliwy, rozgrymaszony potwór, taką opinię o sobie przyjmowałam długo, ze skruchą i bez oporów, aż wreszcie wyszły na jaw przyczyny, dla których nie jadłam, a za sprawdzian posłużyły moje własne dzieci. Jeśli karmiono mnie tak, jak usiłowano karmić moich synów, nie dziwię się, że nie jadłam. Nieprawdą jest, że nie miałam apetytu, bywałam głodna, lubiłam różne produkty, ale nie miałam kiedy ich zapragnąć. Pchano we mnie pożywienie o wszelkich porach dnia i nocy, musiałabym mieć strusi żołądek, żeby to wytrzymać. Karmiła mnie moja matka, gosposia, babcia i ciotki, każda we własnym zakresie i wedle własnych poglądów. W wieku pięciu lat dostałam rozstroju żołądka wielkiej klasy, czyli elegancko mówiąc, kosmicznej sraczkii. Niczego nie trawiłam. Chodzić przestałam zupełnie, szkielet nie miał sił. Zrozpa-

czona babcia zabrała mnie na spacer, ze schodów musiała mnie znieść, a spacer odbywał się dorożką. Babcia, w skrajnej desperacji, przezegnała się i pomyślała: „Albo umrze, albo wyzdrowieje” i kupiła mi po drodze półtora kilo bananów. Banany uwielbiałam, nie wiem, czy całe półtora kilo zdołałam zjeść w trakcie spaceru, czy trochę zostało, w każdym razie dolegliwość minęła jak ręką odjął. Banany dokonały przełomu i krótko potem zaczęłam wyglądać jak pączek w maśle. Z jedzeniem nadal grymasiłam, ale to już było zupełnie co innego.

Drugim nieszczęściem były moje choroby. Miałam chyba wszystko. Wedle oceny mojej matki, dwa tygodnie byłam zdrowa, a trzy tygodnie chora. Grypy i anginy trzymały się mnie kurczowo i od dawna znam przyczyny tego zjawiska.

Ubierana byłam przerażająco. Głównie przyczyniała się do tego babcia, która trwała w mniemaniu, iż dziecko należy ciepło trzymać, i pogląd zdołała wpoić całej rodzinie. Rajtuzy, swetry, śniegowce, ciepłe majtki, szaliki, futerko, żeby je piorun strzelił, istny bałwan, nie pamiętam, co tam jeszcze, ale wiem z całą pewnością, że stanowiło to moją śmiertelną udrękę przez długie lata. Nieruchawość ten strój powodował rozpaczliwą i dzieci się ze mnie natrzęsały, bo nie mogłam biegać. Bieganie w ogóle zostało mi wzbronione, mogłabym się spocić. A pewnie, każdy by się spocił.

Do tej pory tkwi we mnie wspomnienie cudownej chwili, kiedy zapomniałam ubrać się kompletnie. Zima to była, schodziłam po schodach i tak mi się jakoś lekko i przyjemnie szło, prawie czułam skrzydła u nóg. Babcia szła za mną, nagle spojrziała. – Jezus Mario Józefie święty! – krzyknęła ze zgrozą. – Nie włożyłaś śniegowców!

Rzeczywiście, stąd lekkość. Usiłowałam wyzebrać spacer bez tych cholernych śniegowców, ale nic z tego. Musiałam wrócić i przyznać się stosownie, po czym od razu życie straciło wszelki urok.

Upierne i uporczywe przegrzewanie powodowało te wszystkie zaziębienia, odbierało mi odporność i do rozpacz przywodziło moją matkę. Odrobiny rozumu nie okazał nikt.

Trzecim okropieństwem, trwałym i niezwalczonym, okazał się mój charakter. Geny, jak sądzę. Prababcie, babcie i w ogóle wszystkie przodkinie odezwały się we mnie wielkim głosem i na to już nie było żadnej rady.

Otóż upierałam się być samodzielna. Istnieją na świecie nieszczęśliwe dzieci, pozbawione wszelkiej opieki, i istnieją nieszczęśliwe dzieci, obarczone nadmiarem opieki. Jedno i drugie daje efekty okropne. Nie rozum mną kierował, to pewne, trudno od pięcioletniej jednostki oczekiwać rozumu, musiał to być zatem zdrowy instynkt. Chciałam sama. Wszystko, co tylko się dało, chciałam sama.

Dziko, szaleńczo i bezgranicznie zazdrościłam ubogim żydowskim dzieciom. Prawdopodobnie ubogie żydowskie dzieci zazdrościły mnie. Widywałam je z balkonu, jak wybiegały na ulicę, bawiły się, wracały do domu i nikt ich nie pilnował. Namiętnie zazdrościłam im tej wolności i swobody, niedostępnej dla mnie, niczym gwiazdka z nieba. Żeby wyjść z domu, iść na spacer, musiałam błagać i żebrać o pozwolenie, a obwarowane to było tysiącem zastrzeżeń. Niezbędna była osoba towarzysząca, odpowiednia pogoda, należało mnie ubrać ciepło, a potem pilnować, żebym się nie zgrzała. Sama? Wykluczone, mowy nie ma!

Kontakty z dziećmi miałam wysoce ograniczone, bo moja matka była zdania, że nie stanowią dla mnie odpowiedniego towarzystwa. Możliwe, że miała trochę racji. Dzieci jak dzieci, uważały mnie za dziwoląga i w dodatku namawiały do złego. Nie wolno mi było biegać, żebym się nie zgrzała, dzieci zatem zachęcały mnie gorąco do łamania zakazu. „Dzidzia, lataj! Dzidzia, lataj!”.